ROZMAITOŚCI.

Dnia 6 listopada, Nr 45. roku 1847.

MATYLDA MORTIMER.

»Pora« londyńska — trzy wiosenne miesiące najżywszego ruchu stolicy — miała się ku schyłkowi. Nawet Matylda Mortimer, chociaż piękna i świéża, zaczęła lekać się, aby różane jéj lica zbyt nie pobladły. Wszakże jeszcze bardziéj lękała się ona nudów pobytu na wsi, dokąd nareszcie powrócić należało; gdyż bardzo mało modnych piękności lubią ustronia wiejskie, gdzie ich ojcowie, unużeni rozrywkami Londynu, oddają się treściwszym uciechom myśliwstwa, a ścisła oszczędność po wydatkach drogiéj stolicy następuje.

Jeszczeto wprawdzie żadna »pora« londyńska nie minęła, żeby piękne panny Mortimer nie otrzymały od swoich przyjacioł zaproszenia do tego albo owego parku; ale pani Mortimer zanadto kochała swoje córki, aby je narażać na niebezpieczną swobodę wiejskiego pożycia w miejscu, przepełnioném gośćmi, częstokroć nie celującémi moralnością. A ostrożność ta była w obecnym razie tém potrzebniejszą, ile że Matylda swoją pięknością i wdziękami, mimo wszelką ulotność i płochość modnego świata stolicy, zniewoliła trwale serce pewnego młodego majętnego baroneta, który tysiącznémi drobnémi okolicznościami dał państwu Mortimer niewątpliwie do poznania, iż tylko delikatność wstrzymuje go od ofiarowania Matyldzie, po tak krótkiéj znajomości, swéj ręki.

Nie sama więc Matylda lękała się powrócić do Motcombe Grange; również i pani Mortimer ciężyło bardzo na sercu wynalezienie przyzwoitego sposobu odwleczenia powrotu na wieś aż do téj pory, kiedyby sir Evelyn Theobald stanowczo się oświadczył. Niepodobna bowiem było zapraszać go z sobą do Motcombe Grange, dopóki jego stosunek do rodziny ostatecznie się nie rozstrzygnął.

Pani Mortimer nie należała bynajmniéj do tych słabych matek, które na lada widok jakiegoś młodego, około córki krzątającego się modnisia, uważają go za swą zdobycz, i nierozsądnémi wnioskami próżną nadzieję w sercach córek wzbudzają. Przeto nie zwracała ona nigdy zbytniéj uwagi na grzeczności młodego baroneta dla jéj córki, spodziewając się, iż w razie dojrzenia całego stosunku w pewną istotną wynikłość, Matylda ze wszystkiego rodzicom swoim się zwierzy. Byłoto jednak dość przykre dla matki położenie. Swemu mężowi nie śmiała pani Mortimer domysłów tych wynurzyć, gdyż dość było jednego słowa, aby starego, dumnego gentlemana nakłonić do niezwłocznéj podróży na wieś, dla przekonania baroneta, iż państwo Mortimer na jego rozległe włości bynajmniéj nie dybią. Jako rozsądna więc matka musiała pani Mortimer przedewszystkiém o to się starać, aby Matyldę od bolesnego zawodu ustrzedz.

Rozważając tak, z najnowszym romansem w ręku, nad stanem rzeczy domowych, spojrzała pani Mortimer przypadkiem na młodszą córkę swą Biankę, i zdziwiła się niemało nadzwyczajną jéj twarzy bladością.

Matylda odbyła już jednę »porę«, Bianka zaś wystąpiła po raz piérwszy na wielkim świecie, i przez jakiś czas z ochotą pociech jego używała. Atoli od niedawna zdały się one utracać dla niéj swój powab, i już kilkokrotnie unikała Bianka z widoczną niechęcią szumnych zabaw.

Widząc ją teraz tak bladą, przypomniała sobie pani Mortimer tę okoliczność, i wpadła w obawę, ażali Bianka nie ma skłonności do suchot. Jakoż przyszło stroskanéj matce natychmiast na myśl, iż jedna z sióstr pana Mortimer na tę chorobę umarła.

Nie było więc czasu do stracenia, a gdy Bianka na zapytanie matki oświadczyła, iż zupełnie zdrową się czuje — co niespokojność matki témbardziéj powiększyło — postanowiła pani Mortimer uwiadomić natychmiast męża o swéj obawie. Pan Mortimer jeszcze więcéj się przeląkł, gdyż Bianka była zawsze jego pieszczotką. Miano więc zasięgnąć rady najlepszych lekarzy londyńskich, czemu ona jednak stanowczo się oparła, zapewniając, iż ma się jaknajlepiéj. Ztémwszystkiém chcieli rodzice koniecznie jakieś roztargnienie jéj sprawić.

»Cóż myślisz, moja droga!« — zawołał pan Mortimer, idąc za popędem nagłego natchnienia — »gdybyśmy kilka tygodni nad Renem spędzili. Obecność moja w domu nie jest témi czasy nieodbicie potrzebną; moglibyśmy się wszyscy mile rozerwać.«

Bianka uśmiéchnęła się wdzięcznie w znak przyzwolenia, i cała rodzina była tą niespodzianą podróżą tak przyjemnie zajętą, że cały ranek najweseléj upłynął. Jakoż uznała zacna pani Mortimer niebawem z upodobaniem, iż świéżo powzięty zamysł będzie oraz najlepszym środkiem zbadania rzetelnych zamiarów baroneta względem Matyldy. Jeźli sir Evelyn państwu Mortimer towarzyszyć zechce, stanie to za dowód, że można liczyć nań nieomylnie; jeźli zaś nie, tedy nie wypadało się niczego po nim spodziéwać.

Następnego wieczora udzielono, jak się rozumie, panu Evelynowi zapadłéj w kole rodzinném uchwały. Sir Evelyn oświadczył, iż to wcale przyjemną dlań jest nowiną, ile że on sam postanowił odwidzićć témi czasy pewnego niemieckiego barona, swego dawnego przyjaciela, który nad Renem ma dobra. Przeco urządzi się sir Evelyn w ten sposób, aby przynajmniéj przez czas niejaki mógł służyć damom za obrońcę i przewodnika. Stary pan Mortimer przyjął to oświadczenie z radością, ile że już niemało lat od jego ostatniéj podróży po Europie upłynęło, i sam już nie był pewnym, czy nie zapomniał trudnéj dla Anglika umiejętności podróżowania po kontynencie.

Po upływie dni czternastu wybrało się szczęśliwe towarzystwo w drogę: a można je było w istocie nazwać szczęśliwém, gdyż melancholija Bianki znacznie się umniejszyła, co wszystkich niezmiernie radowało.

Lubo pan Mortimer doprawdy nie wiedział, jakby sobie bez młodego towarzysza wycieczki mógł był dać radę w podróży; przecież przyzwoitość wymagała, prosić go, aby sobie dla państwa Mortimer własnych projektów zabawy nie psuł. Atoli baronet upewniał, iż go doszła wiadomość, jako przyjaciel jego, baron Gorthejm, przypadkiem w Anglii wstrzymanym został, a przeto wszelką wolność rozporządzenia swoim czasem sir Evelynowi zostawia.

W Koblencyi nareszcie ustały wszelkie dalsze wątpliwości co do spółtowarzystwa baroneta, ile że on tam wyraźnie o rękę Matyldy się oświadczył. Panna Mortimer odpowiedziała mu naprzód sama w sposób zezwalający, a rodzice nie kryli się bynajmniéj z zadowoleniem z tak szacownego zięcia, jako też i miła Bianka, w odpowiedź na czułe zwierzenie się i serdeczny wreszcie uścisk swéj siostry, nie wzbraniała się zapłakać z nią w towarzystwie, lubo się na próżno siliła, naśladować radość Matyldy, któréj łzy jasną tęczą nadziei się promieniły.

Koblencyja stała się nagle rajem Matyldzie, i prosiła tak długo, aby tam

z tydzień zabawiono, że nareszcie wszyscy na to przystać musieli. Atoli po kilku dniach okazało się, że powietrze tameczne równie jak londyńskie, Biance bynajmniéj nie służyło, gdyż znowu bardzo blado wyglądała. Wyruszono tedy czémprędzéj daléj; wszakże lubo Bianka wszelkiémi nasuwającémi się jéj przedmiotami zajmować się usiłowała, było przecież widoczną rzeczą, iż to tylko dla uspokojenia swéj rodziny czyniła.

Ponieważ zdrowie Bianki coraz jawniéj wątlało, przeto wniósł sir Evelyn, aby korzystać z poblizkości małego zamku jego przyjaciela, barona Gortheim, i zabawić tam dni kilka dla przekonania się, ażali czyste powietrze okolicy, ulgi Biance nie sprawi.

Po długim namyśle przyjęto wniosek baroneta. Sir Evelyn udał się naprzód w odwidziny do zamku, ujrzał wszystko, mianowicie zaś pokoje mieszkalne w najpożądańszym stanie, i złożywszy staremu zarządzcy dastateczne dowody swéj zażyłości z baronem Gortheim; opisał mu położenie państwa Mortimer i Bianki. Uczciwy starzec odpowiedział, iż przyjmie chętnie całe towarzystwo u siebie, a w kilka dni mógł sir Evelyn swoję narzeczonę wraz z rodziną do zamku odprowadzić.

Trudno sobie wystawić coś piękniejszego nad położenie tego zamku nad Renem. Po przeciwnéj stronie rzéki, na nieco wyższém wybrzeżu, leżała druga twierdza, podczas gdy prawie w pośrodku przepysznéj rzéki zieleniła się malownicza wysepka.

Po raz piérwszy od wyjazdu z Anglii, upływał Matyldzie czas leniwo, lubo kochała i była wzajem kochaną. Przyzwyczajona żyć zupełnie według mody, ukształcona wyłącznie do życia towarzyskiego, uczuła tu Matylda co chwili brak stosownego sobie zajęcia, ciężar samotności. Bianka bawiła się po całych godzinach rysowaniem w swém album, przy czém sir Evelyn był jéj wielorako pomocnym, wskazując jéj najpiękniejsze widoki okolicy, tłumacząc jéj romantyczne podania miejscowe. Tkliwa dziewczyna dziękowała za tę uprzejmość melancholijnym uśmiéchem, a młody baronet zaczął wkrótce cenić wysoko ten luby uśmiéch. Świetniejsza piękność Matyldy ćmiła wprawdzie skromne wdzięki siostry, i dość jednego było jéj słowa, aby sir Evelyna nazad do stóp narzeczonéj sprowadzić; atoli słowa takie wychodziły rzadko z ust Matyldy, a równie jak baronet tak też i ona zaczęła niebawem cały prawie swój czas poświęcać niknącéj siostrze, która ciągle jeszcze utrzymywała, że się zupełnie zdrową czuję, podczas gdy przeciwnie złowrogi hektyczny rumieniec na jéj licach, całą rodzinę o coraz sroższém przekonywał niebezpieczeństwie.

Znowuż więc stroskani rodzice postanowili spieszyć na powrót do Anglii, i nawet łzy Bianki, któréj z każdym dniem wzmagające się osłabienie niechęciło ją témbardziéj ku téj podróży; nie mogły skłonić rodziców do wysłuchania jéj prośb o przydłużenie pobytu w téj pięknéj okolicy. Dopiéro uwaga matki: jak nieprzyzwoicie jest, bawić tak długo w domu nieznajomego, który każdéj chwili powrócić może; położyły koniec tym prośbom Bianki. Przekonana tak zręcznym argumentem, umilkła, a tymczasem czyniono wszelkie przygotowania do wyjazdu— gdy jednego dnia, rano, Matylda, wprawdzie jak zawsze uśmiéchająca się, lecz jeszcze bledsza niż Bianka, na śniadanie do dolnéj sali zeszła. Zaledwie śniadanie się skończyło, przypomniała Matylda sir Evelynowi przyrzeczenie pokazania jéj sławnego zamku Drachenfels, dokąd dla słabości Bianki dotychczas wycieczki omieszkano.

Otrzymawszy pozwolenie rodziców zabrała się Matylda z swoim narzeczonym w drogę ku temu zameczku, leżącemu tuż na przeciwném wybrzeżu Renu. Przebyto szybko rzékę, i zaczęto się wspinać po skale w górę, co jednak Matylda nie czyniła tym razem z zwyczajną swoją siłą, ale oglądając się owszem częstokroć poza siebie ku siostrze, która z okna ręką znak jéj dawała.

Atoli nagły zakręt skały odjął jéj wreszcie wszelki widok na zamek. Postrzegłszy to Matylda, wskazała narzeczonemu ustronny zielony zakątek, prosząc go, aby tam z nią usiadł, gdyż ma zwierzyć mu tajemnicę, od któréj całe szczęście jéj rodziny zawisło.

Młody baronet, zmieszany nagłą powagą i prawie surowością, malującą sią na obliczu Matyldy, natychmiast życzenie jéj wypełnił. Nim jednak Matylda przemówiła, obaczył Evelyn gwałtowne na jéj twarzy wzruszenie, a oraz widoczne usiłowanie przytłumienia wzburzonych uczuć serca.

»Mów Matyldo!« — zawołał wreszcie baronet. — »Cóż ci jest! Co znaczy to wzruszenie, te łzy, dla czego ręka twoja drzy w mojéj? Jakąż okropną tajemnicę masz mi powierzyć?«

»Przebacz mi Evelynie« — odpowiedziała panna Mortimer — »ale wierz, gdy ci powiém, że jestem najmocniéj przekonaną, iż to, co ci tu mam powierzyć, nikogo tak blizko jak mnie samę nie obchodzi. Gdyby nie ta myśl, bądź pewnym, żebym się nigdy nie odważyła do tego kroku, który nie tylko moje, ale jeszcze drugiéj i godniejszéj osoby szczęścia dotyczé. Przyrzecz mi tylko, mój drogi Evelynie, iż nie uczynisz żadnych zarzutów, skoro ci nic nie odkryję, czegobyś ty sam własną nie przeczuwał już świadomością.«

»Przyrzekam ci Matyldo; ależ na nieba....«

»Dziękuję ci Evelynie« — ozwała się dziewica drzącym głosem — »gdyż wiém, że dotrzymasz danego słowa. A teraz słuchaj mię uważnie, abym się nie okazała słabą w mojém postanowieniu, które jest świętém, i zwłoki nie dozwala. A przecież, gdybym nie była pewną, iż serce twoje jest wiérném i szlachetném, nie śmiałabym wziąć tego postanowienia na siebie.«

»Matyldo, przejmujesz mię obawą... jeszcze raz.... błagam cię....«

»Dowiész się o wszystkiém« — wszczęła panna Mortimer na nowo — »gdyż mogę ci zaufać. A może, Evelynie« — tu Matylda spojrzała w oczy narzeczonemu, i duża łza spadła na rękę, która w jego ręce spoczywała — »może jestem w stanie uszczęśliwić twe życie bardziéj, niż kiedykolwiek tego się spodziéwałam. Uważałam cię bacznie przez trzy tygodnie Evelynie; ani jedno spojrzenie twoje nie uszło mojej czujności. Sam się łudziłeś, Evelynie; stosunki ułudziły cię — Evelynie, ty kochasz Biankę!«

»Matyldo!« — zawołał baronet, porywając się z miejsca. — »Cóż to ma znaczyć? Czyż moja miłość tak prędko ci się sprzykrzyła?«

Miast wszelkiéj odpowiedzi wzniosła piękna dziewica jeszcze raz oczy ku niemu, i prosiła go usiąść; wszakże w jéj spojrzeniu było coś, czego Evelyn znieść nie zdołał, a idąc machinalnie za jéj rozkazem, zajął znów miejsce przy niéj, lecz obudwoma rękami twarz sobie zakrył.

»Jesteś draźliwym Evelynie« — ozwała się drzącym głosem Matylda — »lecz jesteś oraz zanadto sprawiedliwym, szlachetnym, aby żywić dłużéj fałszywe uczucie dla téj, która — która« — tu łzy przerwały dalsze słowa.

»Która w ten sposób igra moją miłością, i równie mnie jak siebie taką okrutną zalotnością obraża« — dokończył Evelyn.

»Przypomnij sobie, coś mi przyrzekł przed chwilą« — rzekła panna Mortimer z przybraną spokojnością, któréj drzące z boleści usta, jawny fałsz zadawały. »Zapewnij mię słowem honoru, iż domysły moje są bezzasadne, a cała tajemnica zostanie na wieki w piersi mojéj zamknięta. Lecz, drogi Evelynie! nie zwódź siebie samego i mnie zarazem; bądź sprawiedliwym względem nas obojga, i powiedz: czy nie kochasz méj siostry?«

»Kocham ją najczuléj. Czyż nie jestem jéj bratem?«

Matylda potrząsła smutnie głową, i zamilkła na chwilę. Byłato ciężka, nader ciężka walka! Czuła też Matylda, iż własne szczęście poświęca. Przecież nabrała znów odwagi, i rzekła z spokojném postanowieniem:

„Dajesz mi wymijającą odpowiedź. Miłość braterska, to co innego. Czyż miałam niesłuszność, budując na twoję szczérość? Nie daszże mi pewnéj, stanowczéj odpowiedzi?»

»Matyldo, dla czegoż tak nielitościwie dręczysz nas oboje? Jeżli moja miłość już cię nie zadawalnia, tedy nie będę ci jéj dłużéj natrącał.»

„Jesteś szlachetnym Evelynie, ale nie sprawiedliwym. Przecież dam ci dowód mojego zaufania, gdyż wiém, iż na nie zasługujesz. Bianka umiéra...»

Baronet westchnął głęboko, i zdało się, jakby cały wewnątrz konwulsyjnie się wstrząsnął.

»Tak młoda i tak piękna» — mówiła Matylda daléj — „kochająca i kochana, bierze swoję tajemnicę z sobą do grobu, i uśmiécha się na szczęście nasze, które jéj spokój duszy na wieki podkopuje. Zdziwisz się może Evelynie, że tak mówię, ale nie jestże to chlubą, pozyskać miłość tak dobréj i tak czystéj istoty?»

„I któż? któż?» wyjęknął narzeczony.

„Słuchaj» — rzekła panna Mortimer z dobitnością. — »Powiedziałam ci już, że mi się nasuwały różne domysły, nie tylko co do ciebie, lecz oraz co do Bianki. Bo mogłoż być inaczéj? Żyjąc w świecie, w którym prawie codziennie cię widziała, jakże nie miała uledz powabowi twojego towarzystwa, i nieznacznie oddać ci swoje serce? Nie wierzysz temu, lecz ja na moją dobrą sławę przysięgam ci, iż tak jest rzeczywiście. Wczoraj wieczorem nachyliłam się nad nią, śpiącą, a starannie na jawie ukrywana tajemnica, we śnie się wyjawiła. Evelynie, ona cię kocha.»

Bolesne westchnienie wydarło się z piersi młodego baroneta.

„I tyż Evelynie, ty, który miałeś tyle sposobności poznać jéj luby charakter; dla którego ona przedwcześnie do grobu zstępuje; nie pragniesz ocalić taką ofiarę! Mylęż się twierdząc, iż nie ma drugiéj istoty na tym świecie, któréjbyś tak gorzkiémi żałował łzami? Omyliłamże się, mówiąc, iż w ostatnich czasach czułeś w sobie daleko głębszą przychylność dla niéj niż dla mnie? Widziałeś mię Evelynie, otoczoną blaskiem modnego świata, świadomą własnéj potęgi, dumną z wrażenia, jakie wokoło wywierałam... »

„Matyldo, miej litość nade mną!»

»Tak, będę litościwą dla ciebie, mój bracie» — odpowiedziała dziewica zcicha. »Powiédz sam, czyż rzecz ma się inaczéj? Biankę zaś ujrzałeś w kole domowém, na łonie rodziny, z męczeńskiém zaparciem się uczucia swoje w sercu tłumiącą, aby nie zasmucić tych, których z całéj duszy miłuje. O, Evelynie, jam cię tkliwie kochała, lecz ona kochała cię z ofiarą własnego życia.»

»Matyldo, nie śmiém spojrzéć na ciebie; będziesz mną pogardzała.»

»Bynajmniéj» — odrzekła Matylda z uśmiéchem, w którym było jeszcze więcéj smutku niż w jéj łzach. »Dla czegoż chciałeś się sam tak okrutnie potępić? Zważ ile szczęścia wkoło siebie roztoczyć możesz! Pomnij na mego starego ojca, któremu choroba ulubionéj córki wszelką radość życia zatruwa, na matkę kochającą, na mnie, która wkrótce siostrę postradam...»

»Właśnie myśląc o tobie i twojéj spaniałomyślności, nie śmiém słuchać cię daléj.»

»A przecież Evelynie, przypomnij sobie, żeś zwodził się, a może i jam cię też zwodziła, mniemając... O, przebacz, ale chcę być otwartą. Odkąd przeczułam i postrzegłam, że Biankę kochasz, i że ona tę miłość odwzajemnia; zaczęłam cię jedynie jako mego kochającego brata uważać.»

Nie chcemy przedłużać téj bolesnéj rozmowy. Dość będzie wspomniéć, że Matylda jeszcze kilkakrotnie całéj swéj wymowy użyć musiała, aby Evelyna do zdania na nią kierunku téj sprawy skłonić. Wymogła na baronecie wyznanie jego zwolna dla Bianki powstałéj przychylności, i byłaby może sama pod brzemieniem swego dzieła upadła, gdyby ta rozmowa dłużéj była potrwała. Atoli zbrojna w uczucie pięknego czynu, nie straciła Matylda ani chwili czasu, lecz uwiadomiła o wszystkiém rodziców, udając zupełną obojętność, która państwo Mortimer z tak nagłą zmianą wnet pojednała. Ztémwszystkiém byłby pan Mortimer nie zezwolił na to, gdyby nie stanowcze oświadczenie Matyldy, iż zna tajemnicę Bianki, i że tylko tym jedynym sposobem Bianka ocaloną być może.

Jakoż została ocaloną, i dziwiła się tylko śród swego szczęścia, jak Matylda mogła tak łatwo zrzec się miłości Evelyna, miłości, która dla niéj była wszystkiém na świecie. Ani jéj przez myśl nie przemknęło, że gdy jéj kochanek w blasku dnia słonecznego wzdłuż pięknych wybrzeżów Renu ją prowadził, gdy idąc zwolna jego ramię ją podpierało, jego spojrzenia na jéj pięknem obliczu spoczywały, jego głos miłosne poszeptywał jéj słowa — Matylda wówczas stała w cienistéj niży okna ukryta, i swojém ciemném, namiętném okiem patrzyła chciwie za niémi, i gniotła w zimnych palcach kwiatek, który za dni szczęścia on jéj darował.

I jakże Bianka o tém domyślać się mogła? Ani jedna łza nie wyszła z ócz Matyldy, gdyż byłaby tém wyjawiła: jaką ofiarę siostrze przyniosła. Aby rodziców w zupełnym utrzymać obłędzie, udawała Matylda jeszcze większą kokieteryję w swéj toalecie niż dotąd, tylko że przy tém wszystkiém, nim jeszcze czas, który wszystkie boleści koi, jéj ranę ukoić zdołał — umarła biédna.

Zamek Vinceński.

Ponieważ stary zamek w Vincennes wcześnie walić się począł, przeto kazał król Filip Valois zburzyć do reszty uszkodzone warownie i założył natomiast w r. 1357 nowy zamek, który teraz znany jest pod nazwą *le donjon de Vincennes*. Śmierć zaskoczyła go wprzódy, nim rozpoczęta budowa do połowy doszła; jego syn Jan doprowadził ją do trzeciego piętra, a rejent Karol, syn Jana, uwięzionego podówczas w Anglii, dokończył dzieła.

Vincennes było pierwotnie królewskim pałacem letnim; dopiéro za czasów Ludwika XI zamieniono je w więzienie stanu.

Za Karola V miał zamek Vinceński znaczną objętość. Opasywały go wały i mury, ozdobione dziewięcią basztami. Baszty te nazywały się: wiejska, paryzka, wodna, kalwińska, namiestnicza, inspekcyjna, królowéj wdowy, dworska i królewska. Wszystkie dziewięć służyły za zamieszkanie dla książąt ze krwi królewskiéj i dworu królewskiego. Sama „wieża” czyli główna część zamku, *donjon*, była tylko dla króla i królowéj przeznaczoną.

Wieża ta stoi w zachodniéj stronie całego w czworogran zbudowanego zamku. Broni jéj osobna fosa z mostem zwodzonym. Fosa jest głazami wykładana, i ma czterdzieści stóp głębokości. Prócz tego otacza tę wieżę przedpiersie ze strzelnicami, obwarowane czterma ponad fosę wystającémi wieżyczkami. Chcąc się dostać na dziedziniec, w którego pośrodku wieża się wznosi; potrzeba przebyć wprzódy trzy niezmiernie warowne bramy, a cały zamek obwiedziony jest széroką fosą o dwóch mostach zwodzonych, z których jeden dla piechoty, drugi dla jazdy i wozów służy.

Kształt wieży jest czworograniasty; cztéry małe wieżyczki stérczą po rogach, a pięcioraki rząd okien oznacza liczbę piętr. Trzy ciężkie żelazne bramy otwiérają się z łoskotem, a wijące się ślimakiem schody wiodą do wnętrza każdego piątra. Wszystkie komnaty są jednakowe; jestto prawie zawsze duża, czworogranna, sklepiona sala, mająca ogromny filar w pośrodku, a duży komin w głębi. W kątach każdéj komnaty znajdują się cztéry mniejsze komórki, które późniéj na cele więzienne obrócono. Rozległość ich nie wynosi więcéj jak trzynaście stóp kwadratowych; podwójne, w żelazo okute drzwi, dwa zamki i trzy rygle, szesnasto stopowa grubość murów i potrójna krata w wązkiem okienku, czynią pobyt w tych małych gabinecikach nader bezpiecznym.

Duża dolna sala służyła za katownię. Jeszcze w r. 1790 można tam było widzieć ławki kamienne i wmurowane obręcze żelazne, których przy torturach używano. Piérwszo-piętrowa sala zwała się salą obrad, ponieważ tam królowie, bawiąc w Vincennes, rajców swych zgromadzali. — Na szczycie wieży rozpościéra się kamienna terasa, wybiegająca śmiało ponad krawędzie budowy. Widok ztamtąd jest nadzwyczajnie piękny. Niekiedy wyprowadzano więźniów w dowód wielkiéj łaski na przechadzkę po téj terasie. — Wieża Vinceńska była widownią niejednego ważnego i okropnego zdarzenia.

W r. 1417 za panowania Karola VI, miała tu królowa Izabella, z domu księżniczka bawarska, swój dwór. Na dworze tym nie mowiono o niczém innèm, jak tylko o festynach, balach i łowach. Młodzi panicze polowali tu daniele i jelenie, a wieczorem piękne damy dworskie, snujące się po rzęsisto oświetlonych salonach; ścigały wyzywającém spojrzeniem młodych rzcerzy... Bo łowy i rozkosze miłosne były w modzie r. 1417. Królowa Izabella miała kochanka; król wiedział o tém, lecz że to było w modzie r. 1417, spał przeto spokojnie jak wprzódy.

Atoli jednego razu jechał powóz królewski, a w nim sam król Karol VI, z Vincennes do Paryża. W tymże samym kierunku gnał z tyłu młody, przystojny rycerz na spienionym rumaku. Był-to Ludwik Bourbon, kochanek królowéj. Zrównawszy się z powozem królewskim, był rycerz Ludwik tak nierozsądnym, że zamiast pokłonienia się królowi, spiął konia ostrogami, i jakby króla nie widział, cwałem karocę królewską wyprzedził. Król zmarszczył się surowo, i nie przemówił aż w Paryżu.

Téj saméj doby o północy wlókł jakiś człowiek na długim rzemieniu czarny skórzany worek przez las Vinceński. Przy blasku trzech pochodni, niesionych przez trzech pachołków, można było wyczytać wyraźnie słowa, wypisane białą farbą na worku: »Wolny przepust dla sprawiedliwości królewskiéj!» — Przyszedłszy nad rzékę Sekwanę, wrzucili wszyscy cztéréj skórzany worek w wodę: był w nim trup kochanka królowéj Izabelli... Już się królowi Karolowi moda z r. 1417 sprzykrzyła.

W r. 1572 zamieniono pałac Vinceński stanowczo na więzienie stanu.

Dnia 15 września 1617 przybył tam książę Condé, pod strażą barona Persan, który go z Bastyli do Vincennes przeprowadził.

W trzydzieści lat późniéj, podczas rozruchów Frondy, był książę de Beaufort ulubieńcem pospólstwa paryzkiego, Stronnictwo jego wysuwało go przy każdéj sposobności na widok ludu, który na samo pojawienie się księcia radością się unosił. Przeto nazwano też księcia „królem przekupek.” Ale dwór lękał się jego wpływu, kazano go więc czémprędzéj w Vincennes uwięzić. Tam musiało się królowi przekupek wkrótce znudzić, gdyż już w piérwszych dniach swéj niewoli powziął myśl ucieczki; jakoż bądźto skutkiem przekupstwa, bądź

też przez samę sympatyję zawiązał się wnet tajny stosunek między księciem a jednym z stróżów więziennych, nazwiskiem Vaugrimant. Ten porozumiał się z przyjaciołmi księcia de Beaufort, a wrychle poczyniono wszelkie przygotowania do ucieczki.

Dnia 31 maja, r. 1550, w samę niedzielę zieloną, przechadzał się gubernator zamku, la Ramée, spokojnie po sali piérwszo-piętrowéj, gdy Beaufort z swoim lokajem z tyłu na niego się rzucił i o ziem go powalił. W oka mgnieniu związano gubernatora i zatkano mu usta chustką tak, że ani się ruszyć, ani słowa przemówić nie mógł.

Tymczasem Vaugrimant przymocował u szczytu muru wałowego powróz, zwisający w fosę. Po tamtéj stronie czekało na księcia trzech ludzi, którzy za pomocą drugiego powrozu, z fosy wywindować go mieli. Nieco daléj stało pięćdziesięciu jeźdźców, których przeznaczeniem było zabezpieczyć ucieczkę księciu.

Beaufort i lokaj jego zostawili gubernatora w sali, a sami pobiegli ku murowi wałowemu. Lokaj spuścił się piérwszy po linie w fosę, i został szczęśliwie na przeciwną stronę wywindowany.

Po nim uchwycił się też książę powroza, ale czy to ze strachu, czy że powróz był dlań za krótki, dość, spada nieborak w fosę, na szczęście suchą, i zostaje tam bez zmysłów. Ci po tamtéj stronie, struchleli; wołają księcia, przechylają się przez mur, aby go ujrzeć, a przerażenie ich dosięga najwyższego stopnia, gdy go wreszcie bez duszy na dnie fosy postrzegają. Wszakże po kilku minutach przyszedł książę do siebie, i widząc, jak tu najmniejszéj chwili do stracenia nie pozostaje; porywa powróz, przymocowuje go sobie wokoło ciała, i podźwigniony w górę, dosięga wreszcie wpółnieżywy okopu. Wiodą go czémprędzéj do przyjaciół, sadzają go na koń, a gdy gubernator la Ramée władzę i mowę odzyskał, uwolniony król przekupek gnał już o dobrą staj od Vincennes wprost do Paryża.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 44ty i zawiéra: 1) Kto i jakby się mógł u nas zająć poprawą pługów krajowych. 2) Uprawa roli. (Wyimek z dzieła Redaktora: »*Stosowane rolnictwo.*« 3) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalszy). 4) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 23ci i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Księżniczka Mery. Wyjątek z dziennika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie. (Ciąg dalszy). 2) Pamięć serca. Wiersz przez S. 3) Kronika literacka. 4) Teatr. 5) Kronika muzyczna. 6) Nowości.

Statystyka rządu francuzkiego, czyli ilość urzędników i wydatków każdego ministeryjum. Ministeryjum sprawiedliwości i spraw duchownych liczy 47.878 urzędników, i wydaje 47.591.860 franków na swoje utrzymanie. Ministeryjum spraw zewnętrznych ma 359 urzędników, a wydaje 6.499.922 fr.; ministeryjum publicznego oświecenia ma 1834 urzędników, wydaje 5,259.772 fr.; ministeryjum spraw wewnętrznych ma 2715 urzędników, wydaje 4.036.996 franków; ministeryjum handlu i rolnictwa ma 1259 urzędników, wydaje 2.055.790 fr.; ministeryjum robót publicznych ma 1758 urzędników, wydaje 5.529.000 fr.; ministeryjum wojny ma 25,245 urzędników, wydaje 64.816.000 fr.; ministeryjum marynarki i kolonij ma 9876 urzędników, wydaje 19.148.933 fr., ministeryjum finansów ma 70.111 urzędników, wydaje 92.886.941 fr.

Piérwsza bursa powstała r. 1531 w Antwerpii. Szczególna okoliczność nadała pierwotną nazwę zakładom tego rodzaju. Na miejscu gdzie ową bursę Antwerpską zbudowano, stał niegdyś stary budynek, należący do rodziny, któréj herb, o trzech kieskach (*bourse*), wisiał nad bramą. Po tym herbie nazywano ów budynek powszechnie tylko kieską, bursą, którą nazwę przeniesiono późniéj na założone tamże miejsce zgromadzeń kupieckich. Gdy za przykładem Antwerpii inne miasta handlowe podobnež zakłady zaprowadzać zaczęły; zatrzymano tę przypadkową nazwę, która teraz u wszystkich prawie narodów w zwyczaj weszła.

Owady nie widzą. Dowiedzioną jest rzeczą, iż oczy owadom nie służą do widzenia. Są to jedynie ślepe znamiona, niejako próby natury, które dopiéro w doskonaléj ukształconych źwiérzętach właściwemu celowi swojemu odpowiadają. I tak np. świérszcze, muchy i t. p. za powolnem zbliżeniem kija ku ich oczom, nie uciekają; lecz gdy tym kijem w odległości kilku stóp silnie machniemy; natychmiast one pierzchną. Toż samo dzieje się gdy kij z tyłu do nich zbliżymy, lub gdy się im oczy wykole. Nie wzrok tedy, lecz samo wstrząśnienie powietrza nadaje im potrzebną świadomość. Jakož przypatrzywszy się dokładnie oczom owadów, przekonujemy się, iż oczy ich są tążsamą skórą, co całe ciało, obieczone; że takowe nie składają się jak u doskonaléj ukształconych źwiérząt, z wielu różnorakich części; nie mają kilku odrębnych błonek, sklistéj zrzenicy, soczewki krysztalnéj i t. d., nic prócz czarnego pigmentu. Przeto i zdanie Blumenbacha, że oczy polyedryczne ku widzeniu oddalonych, pojedyńcze zaś bliższych przedmiotów są przeznaczone, podstawę swoję traci. Również upada twierdzenie: jakoby owady, mające niekiedy niby kilka zlepionych ócz, kilkorako ten sam przedmiot widziały, lub jakoby owadom barwy inaczéj się wydawały.

Zawiść artystów. Sławny malarz van Mander znał tajemnicę swego mistrza Jana Brigge, jak farby z olejem lnianym tak uciérać, ażeby malowidła nieznany dotąd połysk miały, nie potrzebując werniksu. Przeto dzieła jego były powszechnie we Włoszech podziwiane, i drogo za nie płacono. We Florencyi malarz Andrzéj del Castagno przyjął go w podróży jak brata, obchodził się z nim w najpochlebniejszy sposób, a z wdzięczności za to van Mander udzielił mu swéj tajemnicy. Ale zawiść wrzała w sercu Castagna; pałał żądzą posiadania sam jeden sławy tego odkrycia, i odnoszenia znacznych ztąd zysków. Owoż pewnego wieczora, w jednéj z odległych ulic miasta, mordercy napadli van Mandera, i śmiertelnémi zranili go ciosami. Gdy nieszczęśliwego w tym stanie znaleziono i poznano, ktoś znając jego zażyłość z Castagnem, kazał go do jego domu zanieść. Castagno zdawał się odchodzić od zmysłów z boleści nad

stratą przyjaciela, który też niebawem na jego ręku umarł. Odtąd Castagno malował jaknajpilniéj; obrazy jego były bardzo poszukiwane, a pewien książę zapłacił mu za jeden 1000 dukatów. Jednakże nie był Castagno spokojnym ani szczęśliwym; można było owszem poznać, iż jakiś tajemny smutek go dręczy. Nareszcie roznięmógł się, nie wstawał prawie z łoża, a widząc tuż śmierć przed sobą, ulżył sumieniu swemu, i wyznał, że onto najął morderców, którzy van Mandera zabili; poczém niebawem umarł. Mimo to jednak postanowił trybunał Florencki zadość uczynić sprawiedliwości, wprawdzie nie karą przeciw zbrodniarzowi, lecz przynajmniéj przeciw jego dziełom, które wszystkie — ile ich zebrać zdołano — ręką kata spalone zostały.

Zmiana systemu Prisnica. Teraźniejszy sposób leczenia w Grefenbergu różni się znacznie od poprzedniego. Parzenie się w kocach, które niegdyś główną było rzeczą, jest dziś zupełnie zaniechane, a natomiast zaprowadzono obwijanie w wyciśnięte mokre prześcieradła.

Omnibusy napowietrzne. Podobnie jak ostatniémi laty wszędzie powozy towarzyskie w używanie weszły, tak, zdaje się, zaczynają teraz balony towarzyskie w modę wchodzić. Piérwsza do tego podnieta wyszła od Anglika Green, który w swoich balonach osobną lożę dla obcych gości, za dość znaczną opłatą, urządził. Za jego przykładem poszli pp. Perlet, Schuman i Maigret. Teraz nabiéra publiczność coraz więcéj ochoty do takich przejażdżek, z czém zarazem konkurencyja przedsiębiorców szybko się wzmaga. Jakoż niedawno wzniosło się w Medyjolanie naraz trzy balony z kilką ochotnikami. Toż samo w Bordeaux zdarzają się coraz częściéj wycieczki w powietrze. I tak 13 września pani Lartet uwiozła tam z sobą młodego porucznika od lansierów w obłoki, a za kilka minut pan Maigret uniósł tancerkę tamecznego teatru. Czy też podobne przejażdżki nie zagrożą z czasem frekwencyi wycieczek do Gretna-Green?

Posąg amazonki. Hrabia Castelnau, podróżując po Brazylii, odkrył nad rzéką Negro w starożytnym lesie ogromny posąg, który według podania okolicznych mieszkańców, z czasów amazonek pochodzi. »Aż do niedawna« — mówi tenże podróżnik — »nie wierzyłem w istnienie tych niewieścich wojowników; lecz w zwidzonych przeze mnie stronach Brazylii, mianowicie w Obydos, dowiedziałem się, iż podziśdzień mnogie o nich pomiędzy Indyjanami krążą podania. Posąg nad rzéką Negro jest tak prostej roboty, że musi koniecznie pochodzić od ludu, u którego sztuka pod każdym względem w kolébce jeszcze zostawała; wszelako jestto bardzo ważny zabytek, jako jedyny tego rodzaju pomnik w Brazylii. Posąg ten przedstawia amazonkę na koniu, zakrywającą sobie piersi rękoma.« Staraniem rządu francuzkiego ma on być przewiezionym do Paryża, i w muzeum królewskiém ustawiony.

Jak wspiérać wartość sztuki. Aleksander Dumas żył w najściślejszéj przyjaźni ze zmarłym niedawno romansopisarzem francuzkim Frydérykiem Soulié. Przed dwudziestą laty, gdy Soulié był jeszcze zarządcą tartaku i fabryki parketów; namówił go Dumas do napisania z nim razem 5-aktowego dramatu. Obrano przedmiot, a sztuka miała się zwać »Krystyna.« Jednakże wkrótce namyślili się obaj inaczéj; każdy chciał mieć swoją osobną Krystynę, i osobno do przedstawienia ją przesłać. Mimo to zostali jak dawniéj najszczérszymi przyjaciołmi. Souliégo »Krystynę« przedstawiono w »Odeonie«, lecz publiczność przyjęła ją dość chłodno, chociaż autor miał ją zawsze za najlepsze swe dzieło. Dumas podał swoją »Krystynę« do »Teatru francuzkiego«, gdzie jednak bardzo długo z odpowiedzią zwlekano. Harel dyrektor Odeonu, chcąc sobie żart zrobić, zamyślił wyprowadzić dwie Krystyny, jednę po drugiéj, na scenę, i napisał w téj mierze do Dumasa. Ten udzielił tego listu Souliému, który lakonicznie odpowiedział: »Nie zły to pomysł. Pozbiérajże drzazgi mojéj rozbitéj Krystyny, każ zamieść na czysto teatr, i postaw swoją »Krystynę.« Życzę ci szczęścia. F. Soulié.«— Gdy się ról wyuczono, zaproszony przez autora Soulié, przybył na próbę i klaskał co mu sił stało. »Twoja Krystyna«— rzekł— »lepsza od mojéj! *Apropos*, czy rozdałeś już bezpłatne bilety?« — »Jeszcze nie.«— »A więc daj mi wszystkie ile ich masz. Przyprowadzę wszystkich moich traczów i parkietników do teatru, a jest ich przeszło pięćdziesięciu. Dam im hasło do klaskania, a obaczysz, że twoja »Krystyna« powszechnie się podoba.«—Dumas wręczył przyjacielowi pięćdziesiąt parterowych biletów, za które cała fabryka Souliégo biła potężnie w łapy od początku aż do końca. Dumas, z którego własnych ust ta anegdotka wyszła, utrzymuje, że gdyby mu Soulié z swoimi traczami i parkietnikami w pomoc był nie przybył, sztuka jego byłaby niechybnie z największym hałasem wygwizdaną.

Słuszna przyczyna. Pewien proboszcz, opuszczając parafiję, miał pożegnawczą przemowę do swych parafijan. Wszyscy serdecznie płakali, gdyż było w całém znaczeniu czcigodny kapłan i człowiek; tylko jeden wieśniak nie płakał. Sąsiad pyta go: »A czemuż także nie płaczesz?« — »Bo ja nie z téj parafii« — odpowiedział.

But trzewik i pantofel. Pyszny trzewik pokłócił się z butem i twierdził, że on jest najznamienitszém ubraniem nogi. »Żaden bal, żadna zabawa nie obejdzie się«— mówił — »beze mnie; gdy tymczasem ty biédaku używany bywasz tylko po ulicach, na błoto i słotę.« But bronił się jak mógł, dowodził brzękotnémi ostrogami, że on jest piérwszym; przytaczał, że nawet filozofowie rodowodem jego nazwiska się zajmują — nic nie pomogło; trzewik nie dał się przeprzeć. Wtém nadchodzi pantofel. Ten zaledwie usłyszał, o co rzecz chodzi, zawołał: »O, wy głupcy! Co wy przy mnie znaczycie? Filozofowie bohatérowie, artyści, dygnitarze jęczą pod moim wyrokiem. Jeden mój kaprys nie puści trzewika na bal a buta na ulicę.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.